

Gąsowska Lucja
ul. Pułkowa 1m21

Szorc Romualda
ul. Broniewskiego 19m2.

S. Stanisław
© ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Lucja Gąsowska. Moją rodzinę wywieziono z Piłatowszczyzny w dniu 10-go lutego 1940-go roku. W czasie tej wywózki wywiezieni zostali:

- Jan Szorc - ojciec /wrócił/
- Julia Szorc- matka /zmarła na Syberii w 1942-gim roku w lipcu /17-go?/,
- Janina, Romualda i Lucja Szorc - trzy córki. /wróciły/.

Prawdopodobną przyczyną wywózki był fakt, że mój dziadek Jan Szorc kupił w Piłatowszczyźnie majątek, który później podzielił pomiędzy swoich czterech synów. Jednym z tych synów był mój ojciec. Tak więc wywieziono nas jako kułaków.

Pamiętam, że wkrótce po wkroczeniu Rosjan aresztowano naszego sąsiada - Jana Łapińskiego. Przepadł całkowicie. Do dziś nie wiadomo, co się z nim dalej stało. On również miał majątek. Ojciec, widząc to, też liczył się z podobnym losem, wywózką i zaczął nocować poza domem. Po jakimś czasie tułania się po obcych domach stwierdził, że już mu zbrzydło to ciągłe włóczenie się po ludziach. Tę noc postanowił przemocować w domu. I akurat w tę noc odbywała się wywózka. Przyszli i go również zabrali.

Najpierw otoczyli cały dom, obstawili wszystkie drzwi i okna i zaczęli głośno dobijać się. W pierwszej chwili myśleliśmy, że przyszli tylko po ojca. Zapanowała trwoga i płacz. Płakaliśmy we trzy, córki. NKWD-yści po wejściu zamknęli się z rodzicami w pokoju i kazali uspokoić nas. Na pocieszenie powiedzieli, że zabierają nas wszystkich razem, że nie będziemy jako rodzina rozdzieleni.

Zaczęliśmy się pakować. W tym wypadku mama wykazała wyjątkowe opanowanie. Braliśmy to, co uważaliśmy za konieczne. Na ścianie wisiał portret rodziców. Jeden z NKWD-ystów powiedział do mamy: bierz to, przyda się dzieciom. Obok wisiał obraz Trójcy Świętej. Mama zapytała, czy można go wziąć. Zaskawie odpowiedzieli, że można. A mama na to: to ja wolę obraz. I ten obraz zabrała. Był on z nami na Syberii przez wszystkie trudne chwile i z nami wrócił do Polski.

Po jakimś czasie przyszedł NKWD-ysta od stryja z wiadomością, że tam są małe dzieci a kobieta płacze, jest roztrzęsiona, mówi, że nie nie będzie pakowała, a przecież coś trzeba jednak ze sobą zabrać. Chodziło tu o rodzinę stryja Józefa, który niczego się nie spodziewając wyjechał do swojej siostry w okolicy Tykocina. Mama poszła, za zgodą NKWD-ystów, pomóc stryjence spakować się i zabrać coś przynajmniej na drogę. A stryjenka całkowicie straciła głowę: stała z dzieckiem na ręku i płakała.

Po jakimś czasie załadowano nas na sanie i ruszyliśmy. Kiedy wyjechaliśmy za wieś, mama rozplakała się, obejrzała się na wieś przeżegnała się i powiedziała: dzieci, wy tu na pewno wrócicie, ale ja już tego nie zobaczę. I tak się rzeczywiście stało. Nie wróciła. Została na Syberii.

Zawieziono nas do stacji kolejowej w Żedni. Tam zapakowano nas do bydłych wagonów. Ale z tego pamiętam bardzo mało. Z podróży pamiętam moment przekraczania granicy państwowej. Zapamiętałam to chyba dlatego, że wszyscy wówczas płakali i śpiewali "Pod Twoją Obronę".

W ogóle z całej podróży pamiętam bardzo niewiele. W sumie są to jakieś niewielkie, oderwane fragmenty. Pamiętam np., że w czasie podróży pociąg niemiłosiernie szarpał. W wagonach były zainstalowane piecyki, na których wszyscy gotowali. Gdy pociąg szarpał, to niektórzy spadali z prycz na podłogę. Kiedyś jakaś pani

smażyła słoninę na patelni. W pewnym momencie, gdy pociąg nieoczekiwanie szarpnął, patelnia z tłuszczem spadła z piecyka na podłogę. W jednej chwili narobiło się dużo dymu. Powstało niemałe zamieszanie a ludzie wszyscy zaczęli kaszlać. Co energiczniej si zaczęli do bijać się do drzwi domagając się ich otwarcia. Pamiętam, że mężczyźni uderzali siekierami w ściany wagonów. Nie pamiętam finału tej sprawy.

Zawieziono nas do głębokiej Syberii do miejscowości Kwitok. Był to prawdziwy "koniec świata", bo tu nawet kończyła się kolej. Zastaliśmy tu tylo las, bo i rzeczywiście nic innego tu nie było. Większe miasto w pobliżu nazywało się Tajszet. Całe życie tutejsze toczyło się w lesie.

Już od samego początku mama chorowała. Mama chorowała już wcześniej, jeszcze w Polsce, na serce. Tak się złożyło, że średnia ~~na~~ siostra /Romualda/ zachorowała na dyzenterię. Z tej racji zabrano ją do szpitala. Chodziło głównie o to, aby ją odizolować od innych żeby nie zarażała innych. Mama, która wówczas akurat czuła się nieco lepiej i była względnie zdrowa, postanowiła: pójdę do szpitala to przynajmniej tego dziecka dopatrzę. I poszła. Leżały obie na jednym łóżku. Jedna miała nogi przy głowie drugiej i odwrotnie. Efekt był taki, że siostra przeżyła a mama zmarła.

A tato przez cały czas pracował przy drzewie. Po jakimś czasie przejechaliśmy do Krasnojarska do swuchozu. Tu ojciec pracował w brygadzie na roli: siew i zbiór/zbóż. Miało to te dobre strony, że często mógł coś ukraść /zboże/ i nam, przymierającym głodem przynieść. Pracował w miejscowości odległej od nas aż o szesnaście kilometrów. Do nas przychodził nocą. Przemykał się lasem, żeby nikogo nie spotkać. Bo gdyby go ktoś zobaczył, to by była bieda. Spotkania były krótkie. Tata musiał szybko wracać, bo rano musiał wyjść do pracy. Czasem jego praca polegała na

doglądaniu kobył ze źrebiętami. Wtedy czasem przynosił nam kobyłego mleka, jeśli udało się mu ukradkiem wydoić kobyłę. Takie pełne napięcia, głodu i przemęczenia życie sprawiło, że tato bardzo osłabł na zdrowiu. Często mdlał z wycieńczenia. Później przeszedł do pracy przy krowach i znów nam przynosił ukradkiem mleko.

Po śmierci mamy nikt nami, dziećmi, nie opiekował się. Same musiałyśmy sobie radzić. W jakimś stopniu opiekunką naszą była nasza najstarsza siostra. Ale w rzeczywistości to żadnej opieki nie było.

W Kwitku mieszkaliśmy w baraku, który miał długość średniej wielkości bloku. Tenże barak był podzielony na niewielkie klitki z piętrowymi pryzami. W całym baraku było pełno pluskiew. Kiedy przejechaliśmy do Krasnojarska, mieszkaliśmy w pokoiku kołchozowym, niesamowicie zimnym. Miejscowi ludzie byli przerażająco biedni. Jedna watówka na spód, druga na nią i tak stale chodzili. Pracujący otrzymywali przydziałowy chleb, który bardziej przypominał glinę. Nawet nie przypominał chleba. Ponadto chodziło się na pola i zbierało kłosa. To też trzeba było kraść. Jeździł taki przedstawiciel na koniu z dużym biczem. Gdy kogoś przyłapał na zbieraniu kłosków - zaczynał bić i to bardzo mocno. I wyganiał z pola. Zbieraliśmy w ten sposób, że wyskakiwało się z lasu, szybko zbierało się i natychmiast uciekało się do tegoż lasu. Takie zabawy nasilały się zwłaszcza jesienią, po żniwach.

Natomiast wiosną w ten sam sposób zbierało się kartofle na kartofliskach. Były to kartofle już przemarznięte, bardzo suche, prawie sam krochmal. Te zebrane kartofle tarkowało się i na płycie piekło się nawet smaczne placki. Zamiast zupy gotowało się lebiodę lub pokrzywę. Do dziś pamiętam, że to było bardzo

kwaśne. Ale przy tamtejszym głodzie smakowało wyjątkowo.

Natomiast ziarno z zebranych kłosek należało najpierw wyłuszczyć, rozetrzeć /najlepiej butelką/ i rzucało się na wodę do zagotowania.

Były też pewne możliwości kradzenia pestek z magazynów. Owe pestki były przeznaczone do silosa. Były one, chyba celowo, zaprawione jakąś substancją o wyjątkowo odrażającym zapachu. Ale i na to znalezione sposób: śmierdzące pestki należało wymoczyć i wysuszyć. Dopiero wówczas nadawały się do jedzenia, pozabawione w ten sposób zapachu.

Wszelkie zboże a przede wszystkim żyto i gryka, suszyło się na blasze i jadło. A jak to smakowało zrozumie tylko ten, kto był rzeczywiście głodny.

Nasze położenie wyraźnie zmieniło się na lepsze w drugiej połowie 1941-go roku tj. po podpisaniu umowy pomiędzy polskim rządem na emigracji w Londynie a rządem Związku Radzieckiego. Wówczas to zaczęliśmy otrzymywać mękę, mleko w proszku, chleb i ubrania. No i otrzymaliśmy paszporty wedle których byliśmy obywatelami polskimi. To właśnie z tymi paszportami ~~nie mogliśmy~~ mogliśmy wyjechać do sowchozu. To już była wolność. Bo wcześniej, w tajdze w Kwitku byliśmy za drutami na terenie ogrodzonym. Teraz mogliśmy pojechać tam, gdzie chcieliśmy. Jakby odsunięto od nas status więźniów.

Mieliśmy jeszcze nieco swoich rzeczy przywiezionych z Polski. Były to dywany, obrusy i ręczniki. Brało się ręcznik i szło do kołchozu na handel. W ramach "twarobmieniu" można było dostać np. kartofli. I tak jakoś żyliśmy, można było coś dostać do jedzenia. Bo tam, na Syberii, Człowiek marzył tylko o jednym: żeby najeseć się do syta.

Ktoś z Polaków będących z nami na Syberii miał otrzymać lis-

townie wiadomość z Polski gdzie jakoby ktoś miał autorytatywnie stwierdzić, że jeśli ktoś na Syberii wytrzyma bezkonfliktowo przez dwa lata, otrzyma prawo powrotu do Polski. Gdy ta wiadomość dotarła do nas na Syberię, wszyscy byliśmy niesamowicie zdziwieni: a któż tu wytrzyma dwa lata? Pytaliśmy zdziwieni. A przecież, czego wówczas ani nie wiedzieliśmy ani nie wyobrażaliśmy, wytrzymaliśmy lat sześć.

Przez cały czas byliśmy w środowisku wywiezionych Polaków. Kiedy zaczęto tworzyć armię gen Andersa ojciec zastanawiał się, co ma zrobić. Pamiętam, że był taki okres, gdy ojciec całkiem poważnie nosił się z zamiarem wstąpienia do wojska. Pamiętam, że już nawet płakałyśmy, że zostaniemy same. Ale ojciec mając nas - trzy małe córki - nie zostawił nas. Nie poszedł do wojska i został z nami.

Nie pamiętam, jak wyglądało nasze położenie po wyjściu ze Związku Radzieckiego wojsk gen Andersa. Po pierwsze dlatego, że byłam zbyt mała a po drugie dlatego, że tam myślało się przede wszystkim o jedzeniu. Żeby coś skombinować i najeść się do syta. Żeby jakoś przeżyć.

W sprawach kultu religijnego i w ogóle w sprawach wiary stanowisko było w zasadzie jasne: nie wolno było modlić się. Ale wszyscy modlili się na nabożeństwach, np. majowych. W naszym mieszkaniu na ścianie wisiał obraz. Tuż obok obrazu wisiał dywan ale w taki sposób, żeby nim można było w każdej chwili zasłonić obraz w przypadku, gdyby ktoś niewtajemniczony nadchodził. Pamiętam, że śpiewaliśmy pieśni i odmawialiśmy litanie. Gdy ktoś, kto stał na czatach dawał odpowiedni znak, że idzie np NKWD-ysta, obraz natychmiast zasłanianiano. Wszyscy rozchodzili się i koniec. Poza tym zupełna religijna pustynia. Nigdy tam nie widziałam ani jednego księdza ani popa. Miejscowi młodzi nie mieli w ogó-

le pojęcia o religii czy religijności. Starsi natomiast pamiętali obrzędy religijne, duchowych i cerkwia. Ale w tych warunkach nie było nowy o praktykach religijnych.

Stosunek miejscowych do nas Polaków był różny. Ale tam wszystkim było źle, wszyscy źle się czuli. Na nas dzieci tamtejsze dzieci przezywały się: "Polak taki nie taki". Ale jak było wśród dorosłych - nie wiem.

Gdy nadeszła wiadomość, że możemy wracać do Polski - wśród nas zapanowała wielka radość. Otrzymywaliśmy pomoc w transporcie. Kazano nam ubrać się jak najlepiej. Uświadamiano nas, że tu nam było bardzo dobrze. Nasz pobyt tu na Syberii uchronił nas przed okropnościami wojny i za to powinniśmy być wdzięczni radzieckiej władzy.

Pociąg przywiózł nas do Białegostoku. Pociągiem osobowym dojechaliśmy do Walił. Dom zastaliśmy spalony. Stodołę rozebrano na most. Pozostał po niej tylko dach. Przygarnął nas stryjek, u którego mieszkaliśmy przez kilka następnych lat. Później starsza siostra wyszła za mąż. Jej mąż miał własny dom, więc przez jakiś czas mieszkaliśmy u niego. Później ja wyszłam za mąż do Michałowa /dokładniej do Kazimierzowa/. Mąż miał niewielkie gospodarstwo, na którym przez kilka lat gospodarowaliśmy. Ale jakoś nikt nie chciał tam zostać: ani syn ani córka. Wówczas sprzedaliśmy to wszystko i przyjechaliśmy do Białegostoku.

Gdy nas wywieziono, byłam w drugiej klasie szkoły powazecznej. Tam również przez jakiś czas chodziłam do szkoły. Pisaliśmy w szkole na gazetach. Dano nam jakieś ołówki. Pamiętam, że uczyłam się z Lotyszami z Lotwy. Z nimi przeważnie kolegowaliśmy się. Była to zabawna historia: oni Lotysze a my Polacy i porozumiewaliśmy się po rosyjsku. Była to szkoła rosyjska. Chodziłam tam do czwartej klasy. Potem trzeba było wyjechać do Polski. W Polsce już nie chodziłam do szkoły, nie uczyłam się. Gdzie

ja pójdę, do której klasy? Byłam już dużą dziewczyną.

Majątek po dziadku przejął szwagier. Władza ludowa zaczęła go cisnąć podatkami. Przez jakiś czas siedział nawet w więzieniu, bo na czas nie wywiązał się z jakichś powinności. Doszło do tego, że musiał to zostawić. Poszedł do pracy do PGR-u. Naszym gospodarstwem w czasie naszego pobytu na Syberii zajmowała się babcia. Później, kiedy była już w podeszłym wieku, nie bardzo sobie z tym radziła. Wreszcie zostawiła to i ziemia leżała odłogiem. Gdy babcia wyjechała, spalił się dom i rozebrano stodołę.

Po powrocie z Syberii nie mieliśmy żadnych kłopotów. Byliśmy na gospodarstwie.

Niedawno spotkała pana Szemiota, który był z nami na Syberii. Wspominaliśmy, jak tam, na Syberii, kradliśmy drzewo. Dopiero on mi o tym przypomniał. Gdyby o tym było można swobodnie mówić po powrocie, pewnie wleceją bym pamiętała. Ale przecież przez całe lata trzeba było milczeć. I tak jakoś wiele przez to z pamięci uleciało.

Tamtejsze warunki klimatyczne były dla nas straszne. Mrozy były tak okropne, że gdy się splunęło, to na ziemię spadał lód. Natomiast w lecie były takie komary, że ich ukąszenie powodowało opuchliznę: na rękach, twarzy i na nogach. A meszka wyjadała wprost oczy. Mimo upałów trzeba było chodzić z siatką na twarzy. Tej meszki było tak dużo, że wpychała się do oczu, uszu, nosa i do gardła. Takie warunki były w Kwitku. Natomiast w sowchozie nie było meszki ale komary były. Kolchoz był w szczerym stepie. Tam paliło się krowieńcem, ponieważ lasów tam nie było w ogóle. Sporadycznie trafiały się kępy brzeziny. W zimie śnieg zamarzał tak, że można było chodzić po wierzchu. Buriany były straszne bo śmiertelnie niebezpieczne. Koleżanka, która pisała do mnie nie tak dawno, pochodziła z okolic Żedni. Ona tam już została. Pamię-

tam, że był taki czas, kiedy władze radzieckie zapisywały ludzi - nakłaniały do tego - żeby podawać narodowość ukraińską lub białoruską. Obiecywano przy tym poprawę położenia, że będą lepiej traktowani. Jak się później miało okazać, były to tylko obietniczki. Koleżanki mama podała się za Białorusinkę. Kiedy myśmy wyjeżdżali do Polski, im odmówiono prawa powrotu do kraju. One tam zostały. Moja koleżanka nadal tam jest. Ostatnio, gdzieś tak od dwóch lat zupełnie przestała pisać. Listy od niej ma moja siostra. Pisała, że wyszła za męża, dzieci nie mają. Ona jest gdzieś mniej więcej w moim wieku a może nieznacznie starsza. Pytałam ją listownie o cmentarz, na którym jest pochowana moja mama. Domyślałam się, że już chyba nie poznałabym tego miejsca. Ona mi w odpowiedzi przysłała fotografię tego cmentarza. W kolejnym liście zapytałam ją, czy mogłabym do niej przyjechać. Odpowiedziała mi jednoznacznie i bez ogródek, że to absolutnie nie jest możliwe, bo to jest miejsce zsyłki. Tam nie wolno nikogo zapraszać i nie wolno tam przyjeżdżać. Taką wiadomość przysłała mi jakieś dwa lata temu. Od tamtego czasu zupełnie przestała pisać. Nie wiem, co o tym sądzić: może zmarła? W tej wymianie korespondencji ja jej odpisałam a ona nie odpowiedziała. I tak od dwóch lat panuje niejasna dla mnie cisza.

We wcześniejszych listach pisała mi, że jest jej tam dobrze. Mają mieszkanie w Tajszece. Nie pamiętam już czy podawała, jaką ma emeryturę bo zawiadomiła, że już przeszła właśnie na emeryturę.

Na krótko przed śmiercią mojej mamy poszłam do szpitala aby ją odwiedzić. Zauważyłam, że mama ma oczy takie "śmiertelne". Potrzymałam na nią przez okno. Gdy, stojąc pod oknem, zaczęłam płakać, mama machnęła ręką i pokazała na swoje piersi co miało chyba znaczyć, że nie czuje się najlepiej. Ale po tem, po jakimś cza-

sie, poprosiła, oczywiście na nigi, o coś do pisania. Chciała mi coś napisać. Gdybym była starsza a tym samym nieco rozsądniejsza i dostałabym ołówek i papier gdzieś w pobliżu. Ale ja, jak to dziecko, pobiegłam po przybory do pisania do naszego baraku. A było to jakieś dwa a może trzy kilometry. Kiedy pobiegłam, mama już nie żyła.

Pamiętam też, jak mama leżała w trupiarni, jak nie można było jej ubrać. Pamiętam jak stryjenka w swojej bezsilności zwracała się do mojej zmarłej mamy po imieniu, aby pozwoliła się ubrać. W końcu, po wielkich kłopotach jakoś się udało.

Pamiętam, jak mamę wieziono saniami. Ojciec pracował w fabryce nart produkującej na potrzeby wojska. Dzięki temu dostał trochę desek i zbił trumnę taką, jaką potrafił. Pamiętam, że mamę pochowano pod dużą brzozą. Zapamiętałam też, że na mogile postawiono biały krzyż.

Moja siostra jeszcze przez jakiś czas pozostawała w szpitalu. Kiedy wreszcie wróciła, była niesamowicie chuda. Dosłownie, ale to dosłownie skóra i kości. Gdy pokazywała mi swój chudy łokieć, to ja od niej uciekałam, bo takie to sprawiało wrażenie. Tak przeraźliwie była chuda. Ale jakoś ze szpitala wyszła. A mama, która była chora - od wielu lat - na serce, ze szpitala już nie wyszła.

Pochowano mamę nie na cmentarzu lecz na odkrytym, nawet nie ogrodzonym miejscu, do którego to miejsca swobodny dostęp miały najróżniejsze zwierzęta. Pamiętam, że to było pod lasem i tak trochę za wsią. Pamiętam, jak ją wieziono saniami.

Do dziś nie rozumiem, jak my mogliśmy przeżyć tam bez chleba, mleka, mięsa i ziemniaków. Praktycznie bez niczego. A jakoś się żyło. Jedliśmy wszystko i wszystko nam smakowało. Czeremcha na przykład była wyjątkowo smaczna. Chodziło się po nią da-

leko. Blisko już nie było bo wszyscy zrywali. Wszystko okazało się jadalne i wszystko smakowało. Nawet moje własne dzieci nie mogą w to uwierzyć. Mówią: jak to, bez chleba? bez mięsa? Jak to możliwe? A żyło się jakoś: dwadzieścia deko chleba na dzień. Każdy chciał iść po przydziałowy chleb. Jeśli przy wydawaniu dodano jakąś okruszynę czy nawet najmniejszy kawałek to ten, który poszedł po chleb, natychmiast to oczywiście zjadał.

- - - - -
/ Romualda Szorc - siostra /

Przyjechali do nas o godzinie czwartej nad ranem. Było to dziesiątego lutego 1940-go roku. Kazano po prostu zabierać się. Ale brać nic nie pozwalali. Każdy z nas stracił głowę. My jako dzieci widzieliśmy to inaczej a rodzice inaczej. Mama starała się włożyć coś niecoś do worków bo wiadomo już było, że nas powiozą saniami. Jeden z nadzorujących nas Rosjan zachowywał się wyjątkowo: co mama włoży do worka to on wyrzucał. Wreszcie mama poszła na strych. Tam była wełna: czyżowana do przędzenia. I mama tę wełnę przyniosła. Akurat ten, który wszystko wyrzucał, na chwilę gdzieś wyszedł. A drugi, który stał obok, rzekł: bierz, to tobie się przyda. Mówił oczywiście po rosyjsku. I mama tę wełnę ukryła w pierzynach. Bo w tym czasie był okropny mróz i mama nas dzieci pozawijała w pierzyny. I właśnie do tych pierzyn włożyła wełnę.

Powieziono nas do Żedni saniami mimo że do Walik było bliżej, tylko trzy kilometry do stacji. Załadowano nas - nie tylko

nas lecz wszystkich wywożonych z Piłatowszczyzny - do bydłych wagonów. Pamiętam, że w naszej grupie był jakiś gajowy. I tak nas stłoczonych powieźli.

Wieźli nas pozamykanych. Było strasznie zimno. A w wagonie był mały piecyk żelazny od którego rura była odprowadzona na dach wagonu. Na postojach pozwalano mężczyznom wychodzić po drzewo aby móc opalać wagon. Wieźli nas chyba ze trzy tygodnie. Wreszcie dojechaliśmy do miejscowości Kwitok k. Tajszetu. Tam nas wyładowano na stacji. Trochę tam mieszkaliśmy, w Kwitku. Potem porozwożono nas po pasiołkach. My trafiliśmy do pasiołka "Udacznaja". Tam były dwa pasiołki: Udacznaja górna i dolna. Teraz już nie pamiętam, w którym z nich mieszkaliśmy. Mama zmarła na Kwitku. Tam została na cmentarzu. To właściwie nie był cmentarz lecz zwykłe miejsce na stepie za wia. Dopiero później na tym miejscu zrobiono tj. założono cmentarz. Z tego miejsca mamy zdjęcie, które nam stamtąd przysłała jedna pani, która tam została. Od pewnego czasu ta pani przestała do nas pisać. Nie wiemy, jaka jest tego przyczyna.

W Kwitku żyliśmy tak, że tylko ledwie żyliśmy. W pobliżu był kołchoz o nazwie "Szewczenko". Tam chodziliśmy aby coś kupić czy poprosić. I nam ci ludzie, miejscowi Rosjanie, dawali. Nosiliśmy tam do sprzedaży różne rzeczy. Zostały nam między innymi sukienki po mamie. Co tylko było można sprzedać - sprzedawaliśmy. Gdy wracaliśmy do domu, to najczęściej byliśmy w opłakanym stanie. Ubrani fatalnie.

Tata pracował w tajdze. A my, jako dzieci, też pracowałyśmy. Wprawdzie nie spiłowywałyśmy drzew, bo byliśmy dziećmi. Ale ściągaliśmy gałęzie w jedno miejsce i je paliliśmy. I to była nasza praca. I za to dostawaliśmy po dwieście gramów chleba więcej. Gdybyśmy nie pracowali, otrzymywalibyśmy tylko po dwieście gra-

mów. I dlatego chodziliśmy do pracy: starsza siostra i ja. Bo ta młodsza - obecnie Gąsowska - chodziła do szkoły. My już nie chodziłyśmy do szkoły bo musiałyśmy pracować.

Okoliczności śmierci naszej mamy były dla tamtejszych warunków w zasadzie typowe. W tym czasie panowała epidemia - jak oficjalnie mówiono - dezynterii. Ale tak na prawdę to był dur brzuszny. Najpierw zachorowałam ja i poszłam do szpitala. Później zachorowała moja mama i również trafiła do szpitala. Zdecydowała się na to głównie dlatego, aby być bliżej mnie i móc mnie doglądać. Byłam przecież wówczas jeszcze dzieckiem. Ja z tego jakoś wyszłam. A mama niestety nie wyszła - zmarła. Na jednym łóżku leżałyśmy z mamą, bo nie było miejsca w szpitalu.

Po~~tem~~ z Kwitka przewieźli nas Udaczną. Później byliśmy na pasiołku Zakataja Gora a ostatni nasz ~~spiołek~~^{spiołek} nazywał się Krasnyj Majak. Z tego właśnie, Krasnego Majaka nas zabrali i przywieźli z powrotem. To był sowchoz - Krasnyj Majak. Żyliśmy z "towarobmienna" i z tego, co dostaliśmy od miejscowych. Dostawaliśmy też czasem paczki z Polski. Kto taką paczkę otrzymał - dzielił się z innymi. Potem, gdy byliśmy już w sowchozie, chodziliśmy na pole zbierać kłosa pomimo tego, że zabraniano. Ganiano nas ale nie było innego wyjścia. Chodziliśmy po prostu kraść. Zebrane kłosa przynosiliśmy do domu, biliśmy je kijem żeby wybić z nich ziarno, suszyliśmy na płycie i potem - czym kto mógł, to ziarno się kruszyło. My na przykład kruszyliśmy to ziarno butelką. Później z tego gotowało się zupę. Do tego dodawaliśmy trochę mleka, jeśli je mieliśmy. Mleko tato otrzymywał za szewcowanie. Bo tato umiał podszywać miejscowym walonki i za to dostawał nieco mleka. Ze zboża robiliśmy też kaszę i też gotowaliśmy zupę. Zabielaaliśmy mlekiem i też jedliśmy. Kartofle też zbieraliśmy ukradkiem na sowchozowych polach. Kartofli było bardzo

mało. Dlatego, żeby było ich więcej, nie obieraliśmy ich. Myliśmy dokładnie, wydkubywaliśmy oczka i tarkowaliśmy. Z tego na płycie piekliśmy placki i je jedliśmy. One nam nadzwyczaj smakowały.

Mieszkaliśmy - na początku - w Kwitku, w baraku po więźniach. Bo tam przed nami mieszkali więźniowie. Kiedy my mieliśmy przyjechać, więźniów z baraku wywieziono gdzieś w głąb tajgi. A nas ulokowano w tych barakach.

Tam były tak straszne pluskwy, że one po prostu zjadły nas. Barak był duży jak stodoła. Na jednym jego brzegu stał żelazny piecyk i na drugim też. A na środku baraku było zimno. Spaliśmy na pryczach, które odziedziczyliśmy po więźniach.

Później, już w sowchozie, mieszkaliśmy w pomieszczeniach starej łaźni. Obok nadal funkcjonowała łaźnia a my mieszkaliśmy w sąsiadującym z nią pomieszczeniu. Tatusz pozbijał z desek jakieś "wyrka", żeby było na czym spać. I tak tam mieszkaliśmy.

Po przyjeździe tatusz zaznajomił się tam z Polakiem, który był tam od dawna. Został tam chyba po pierwszej wojnie światowej - tego dokładnie nie jestem pewna. Przez jakiś czas byliśmy u niego. Dopiero później całą rodziną przeszliśmy do państwowego budynku.

Tata pracował tam przez cały czas. Musiał, nie było innego wyjścia, bo nas tam było troje. Latem to i my pracowałyśmy. Ale imię, gdzież my pójdziemy? W sowchozie pracowałyśmy latem przy zbiorce zbóż. Przy siankosach dawano nam byki, nie konie lecz byki, którymi woziliśmy siano. Oplakana to była ta nasza praca. Gdy było gorąco i muchy, byki uciekały nam w krzaki. I weź ty, dziecko jedenastoletnie, wyciągnij te woły z krzaków. Ale jakoś musiałyśmy sobie radzić. Miałyśmy za tę pracę parę rubli no i trochę więcej chleba.

Pogrzebu mamy opisać nie mogę bo w tym czasie byłam w szpi-

talu. Nawet nie widziałam, jak mamę powieziono. Gdy wróciłam ze szpitala te siostry bały się mnie, taka byłam chuda. Ale jakoś wyżyłam. Tam do żadnej szkoły nie chodziłam. Tam chodziłam tylko do pracy.

Tata nie starał się za bardzo do armii gen Andersa. Chodziło mu o nas. Gdyby nas tata zostawił, to nas z całą pewnością zabrano by do domu dziecka i przepadłybyśmy. Bo kto by się za nami wstawił? Taty nie byłoby i koniec.

Podpisanie umowy Sikorskiego ze Stalinem umożliwiło nam poruszanie się. To dzięki temu mogliśmy wyjechać z Kwitka, z tajgi do sowchozu. Dostawaliśmy jakiś prowiant, chyba z Unry i nam było trochę lepiej.

Nie pamiętam jak to było, kiedy wojska gen Andersa wyszły z Rosji. Nie wiem. Może było i gorzej?

Nie pamiętam nic na temat zmuszania obywateli polskich do przyjmowania obywatelstwa radzieckiego ale gdy nas wwieziono na Syberię to pytano: kto jest kto. Chodziło o narodowość. My podawaliśmy zawsze: Polacy. Ale niektórzy, nieliczni, podawali się za Białorusinów. Ta pani, która pisała do siostry, podała się za Białorusinkę/właściwie to zrobiła jej mama/. Ona zresztą była Białorusinką i dlatego tam została. Nie otrzymała prawa powrotu do kraju.

Praktyki religijne nie istniały bo i nie mogły istnieć, skoro tam nie było ani kościoła ani cerkwi ani żadnego innego budynku kultowego. W zasadzie modły, jeśli były, ograniczały się do domu. W naszym przypadku była to rodzina: tatuś i my trzy siostry. Mieliśmy też książeczki do nabożeństwa bo nasza mama o tym pamiętała. Mieliśmy też obraz z Polski /obraz Trójcy Sw./, który wrócił z nami z Syberii. Jest teraz tam, na wsi. I to chyba wszystko.

Miejscowi nic chyba o tym nie wiedzieli. Tutejszym ludziom mówiono wcześniej, że nas tu do nich przywiezą. Kiedy nas przywieziono, miejscowi zbiegli się gromadnie zobaczyć, jak Polacy wyglądają. Potem nie mieli do nas wrogiego usposobienia. Byli życzliwi po prostu.

Cóż tu jeszcze można dodać. Straszliwy głód i ubóstwo. Dzięki Bogu, że przetrzymaliśmy to wszystko. Kto nie wytrzymał ten nie wytrzymał. Najwięcej nam mamy szkoda. Kiedy wracaliśmy, każdy dziękował Bogu, że wyjeżdża, że doczekaliśmy.

Samego powrotu też prawie nie pamiętam. Jechaliśmy też w ciepłych wagonach, pootwieranych. To już było lato. Wróciliśmy 17-go maja. Jazda była znacznie lżejsza niż w tamtą stronę. Dawano nam jeść. W tamtą stronę, na przystankach, pozwalano wychodzić po "kipiatok". Teraz niekiedy dawano zupę. Kazano nam ubrać się starannie. Ale w co? Gdy tu przyjechaliśmy, to wstydziliśmy się wyjść z wagonów. Tak wyglądaliśmy. Ale wszyscy byliś-zadowoleni, że chociaż wróciliśmy. Pociągiem przyjechaliśmy do Białegostoku a następnie pojechaliśmy pociągiem osobowym do Walił. To już była jazda na własną rękę.

Po wojnie przez jakiś czas byliśmy na gospodarstwie w Piłatowszczyźnie, z siostrą. W domu byłam do roku 1964-go. Potem tatuś przeszedł do pracy w Białymstoku i mnie zabrał ze sobą, I ja od roku 1964-go jestem w Białymstoku. Pracowałam w przedszkolu. Obecnie jestem na emeryturze. Przez dwadzieścia lat pracowałam w przedszkolu nr 3 a ostatnie siedem lat w przedszkolu przy ulicy Broniewskiego. Miałam blisko z domu do pracy.

Zdrowie nadal mi dopisuje, za co Bogu dziękuję. Mam parę złotych emerytury i jakoś żyję.

Tatuś zmarł w roku 1967-mym. Teraz mieszkam już sama. Powodzi mi się nieźle. Tylko ta pani z Syberii nadal nic nie pisze.

Notował: S. Sianko.

Załącznik: listy z Syberii od koleżanki.

/list przedostatni/

10.IV.

Droga Lucjo .

Z Polski dostałam już 11-cie listów ale Twój list najwięcej mnie ucieszył. Szorców ja znałam. Mieszkałam w drugim baraku po sąsiedztwie z Lonią Szorc, która była moją koleżanką. Nawet jakiś czas pisała do mnie z Polski listy. Lonia - Leonarda, brat u niej Marian i siostra Landzia. Druga pani Szorcowa zmarła. U niej było troje dzieci i waszą rodzinę wiedziałam, gdzie wy mieszkaliście. Kiedyś ja szłam po drodze do Lewonowskich. Ze mną szła sama średnia z was siostra. Ona mnie powiedziała swoje nazwisko. Na Udacznej wy mieszkaliście po sąsiedzku z Lewonowskimi i ja bardzo lubiłam ich córeczkę Niusię. Potem chodziłam do nich, do Kuleszów i do Dzienisiuków. Dzienisiuki także zostali z nami na zawsze. Myślę, że ich pamiętasz. Dzienisiuk Irka. Jej mama pracowała kucharką na "smołokurce" / terpentyniarni /. Była ciocia Btefa, taka że nie kobieta i nie mężczyzna. Z tą rodziną wy przeżyliście jak krewni. Kiedy nam z mamą było bardzo ciężko, to ciocia Julia - tak ją nazywaliśmy - bardzo dużo pomagała nam. Później było nam lepiej, my pomagaliśmy. Teraz ja żyję bardzo dobrze a oni gorzej to pomagam im. U nas z mężem nie ma dzieci wszystko idzie na nas dwoje. Mamy samochód, dobre mieszkanie, ogród wszystko swoje, jesteśmy na rencie. Ja z 1929 r a mój mąż o trzy lata starszy. Tylko zdrowia nie ma. Ja pracowałam w Kwitku po waszym odjeździe na mebelnej fabryce a także i w lesie

i na smółokurce. Ich zbudowano jeszcze trzy. Na tym miejscu gdzie była smółokurka za koleją na górze zbudowano drugi Kwitok. Nazywa się Nowostrojka i ten bardzo rozbudował się. Z Wajszetu do Kwitka chodzą cztery razy dziennie autobusy. Wajszet też bardzo rozbudował się. Klimat zmienił się. Takich strasznych mrozów już nie ma. Może za zimę 2-3 dni takie gdzie mroz 45 do 50 stopni. A więcej dni od 20-30°. A latem śnie, nie ma ciepła. Pamiętam, że kiedyś latem były upalne dni a teraz takich nie ma. Wiosny jeszcze u nas nie ma a mamy dziś 10 IV. Moja mama zmarła 22 lat temu. W Polsce byłam dwa razy; w 1973 i 1979. Byłam w Żeśni, Zaczyszu. Mam siostrę w trzecim pokoleniu w Elblągu blisko Gdańska. Szczepańskie mieszkają w Białymstoku no teraz są gdzieś za granicą. O tym napisał ich stryjek. Może jeszcze o kimś coś wiesz to napisz. Ja chciałabym odnaleźć takich Zyskowskich. Oni też zabrani z tych stron gdzie i wy. Jeśli wiesz adres Loni Szorc to przeszlij jej ten list. Była bardzo dobra dziewczyna. Może mieliście dawnych znajomych w Kwitku to będę mogła o nich napisać. Nie piszesz nic o ojcu i siostrach. Ja nie myślałam, że redakcja nadrukuje cały mój list za co jestem jej bardzo wdzięczna. Dwa listy dostałam od tych co znali od wojny. Od tych co słyszeli o nas od wcale nieznajomych którzy zapraszają w gości co mnie bardzo wzruszyło. Od jednej która była w Kwitku no nie długo. Od Kozłowskiego który był w Kwitku. Wszystkim ja odpisałam. Moje imię nie Karolina a Kalina. Myślę że nie obraził się za to, że piszę po rosyjsku bez "pan". Ukłony od nas z mężem całej Twojej rodzinie także znajomym. Kalina.

Przepraszam za błędy przez tyle lat dużo czego zapomniałam się w gramatyce.

/ list ostatni/

1.VI.88.

Droga Lucjo .

Wczoraj otrzymałam list a dzisiaj daję odpowiedź.Po prawdzie to ja mam imię Kalenia no mnie metryki nie przysłali tak jak spalili się w czasie wojny a przysłano papier że jestem chrzczona na imię Kalina co potwierdzają ludzie.Tak i zostało w dokumentach.Dostałam ja list od Wandy Szorc.Szkoda że Lonia nie żyje.Kto zaopiekował się jej dziećmi.Za ten czas ja dostałam od 30-tu ludzi listy,więcej od mieszkańców Białegostoku no są i z województwa.No mało takich,kogo znałam,dużo listów od wcale nieznajomych,którzy tutaj nie byli.Jedna pani z Lap napisała tylko taką frazę:skłaniam nisko głowę że Pani i nie Polka a przez tyle lat nie zapomniała polskiego języka a Polacy i przez krótszy czas zapominają.Otóż chcę ci opisać,jak to było,czemu nie zapomniałam i jeszcze o jednym do ciebie zaciekawić.Otóż jednego razu a było to zimą 55 czy 56 roku przychodzi do nas kobieta z Kwitka i prowadzi starego dziadka.Jak się okazuje,był to ksiądz Bielawski.Siedział on w obozie a teraz wszystkich takich wracają do Polski/56r/. Na 46 kilometrze od Tajszetu w oswobodzonym obozie ich takich zgrupowano i oni czekają na wyjazd.To 5 km od wsi Szewczenko a 13 km od Kwitka.Ksiądz powiedział mnie,że jest krewnym p.Dorzywalskiej,nauczycielki która otruła się grzybami.Na pewno pamiętasz.Prosił mnie,żebym pokazała mogiłę.Wzięłam ze sobą drewnianą łopatę żeby oczyścić śnieg a tam go było bardzo dużo.On

tam modlił się a ja potem zaprowadziłam go w głąb cmentarza i on modlił się za wszystkich zmarłych dusze i także za mojego tatusia. Potem powiedziałam mu, że są tu wysłani Litwini. On i u nich w baraku odprawił nabożeństwo a potem na drugą niedzielę ja chodziłam do tych Polaków. Tam mnie czekali, przebrano w ich ubranie i przeprowadzono do obozu. Oni chodzili już wolno. No koniecznie iść tam cudzym było wzbronione. Przechodziło się przez wachtę - budkę gdzie siedział "ochronnik". Tam zapoznałam się z /.../. Oni mu podawali różne polskie żurnaly. Jak powiedzieć po polsku - to nie wiem. "Przajycółka", "Kobietka" i drugie różne tak, że miałam co czytać. Czytałam to po parę razy tak się nie zapomniałam polski język a potem zaczęli mnie przysyłać z Polski książki nowi znajomi i kuzynka. Oni tj. ci Polacy byli tu z miesiąc. Byłam tam przez parę razy. Co się ma do nauki i rozmów to już ich mało. Polski cmentarz został w środku z boków chowają nowi ludzie, Łucja, do nas tutaj nikt nie przyjeżdża. Tutaj kraj wysłańców. Może teraz będzie pozwolono, no wątpię. W Irkucku to mówiono. Co ci jeszcze napisać. Ty pytaj się a ja będę odpowiadać. A to piszę dużo listów i nie chcę powtarzać się. Takie trzy babcie mają dużo wnuków. Ile masz lat - ja mam 58 a mąż 62. Ogród już posadziliśmy. Za parę dni pojedę do Kwitka. Tam chcę poprosić, żeby sfotografowano z daleka cmentarz. Trochę będę mogła wysłać fotografii. Ukłony od nas całej twojej rodzinie a także tym, którzy z nami byli. Całuję ciebie - Kalina.